

Eulenburga, niegdyś ambasadora niemieckiego w Wiedniu, dwóch braci Moltke (jeden jest szefem sztabu generalnego, drugi był komendantem miasta Berlina) i Tschirschky'ego, sekretarza stanu dla spraw zagranicznych itd.

Oczywiście ozdobę tego grona stanowił sam cesarz Wilhelm, równie zapalony, jak nieudolny muzyk, w czym nie ustępuje mu książę „Phili“, znany ze swych niefortunnych kompozycji muzycznych.

Gdyby ci mężowie, przedstawiający elitę kraju „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“ byli poprzestali na uprawianiu muzyki, deklamowaniu wierszydeł własnego utworu, wywoływaniu duchów, no i rozpuszcie, która przekraczała wskazane przez naturę granice — świat nie byłby zapewne interesował się zbyt nimi. Ale ich nieszczęście chciało, że wdali się w zatarg z kanclerzem państwa, ks. Bülowem, który zresztą należał sam ongi do tej wesołej kompanii.

Ks. Eulenburg zaczął kopać dołki pod swoim dawnym przyjacielem i koniecznie pragnął wpakować na posadę kanclerza hr. Moltkego, naczelnika sztabu generalnego. Ks. Bülow spostrzegł jednak, co się święci i użył pośrednictwa znanego publicysty Hardena, aby zdemaskować intrygi nieprzyjaznej sobie kliki. Zaczęły się tedy rewelacje w poczytnym bardzo piśmie Hardena pt.: „Die Zukunft“.

Miedzy innymi pisał Harden w ten sposób o ks. Eulenburgu:

„Umiął on starać się o swych przyjaciół. Jednego zrobił szefem sztabu generalnego, drugiego, który był dlań *więcej niż przyjacielem*, komendantem Berlina... a i dla innych znalazł jeszcze ciepły kącik. Są to dobrzy ludzie: muzycyści, poetycy, spirytyści; tak pobożni, że przypisują modlitwie większą siłę leczniczą, niż najlepszym lekarzom... Wszystko to byłoby ich rzeczą prywatną, gdyby nie należeli do najściślejzego koła cesarza i widocznie lub skrycie nie przędli pajęczyn, które utrudniały oddechanie państwu niemieckiemu“.

Szereg artykułów z „Zukunft“ dostał się do rąk cesarza Wilhelma, za pośrednictwem następcy tronu, który najwidoczniej trzyma stronę kanclerza. Władcy Niemiec otwarli się oczy. Naprzód popadł w niełaskę ks. Eulenburg, później dostał dymisy komendant Berlina, a w dalszym ciągu spodziewanym jest szereg dymisji wśród najbliższego otoczenia cesarza. Chciwa zaś sensacji publiczność niemiecka będzie miała widowisko nielada, skoro b. komendant Berlina wytoczy Hardenowi proces za jego rewelacje, co szumnie zapowiedział.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

3

Ciąg dalszy

— A ja, dodał Daubrac, jestem lekarzem asystentem w Hotel Dieu, a to mój przyjaciel, baron Meriadec. Myśmy widzieli wchodzące dwie osoby na wieżę, z których tu jedna przed nami zabita, a mężczyznę, który szedł z tą nieszczęśliwą poznajmy.

Komisarz policji uległ wreszcie naleganiu, odesłał zwłoki na marach do szpitala, a sam udał się ku wieży. Fabreguette, Daubrac i Meriadec udali się z komisarzem, a za nimi, jak zwykle w takich wypadkach, ogromny tłum gawiedzi. Komisarz ustawił straż u wejścia na wieżę, a sam z malarzem, baronem i doktorem poszedł na górę. Zadzwoniono na trzecim piętrze u kraty i wnet ukazała się na korytarzyku, wiodącym do mieszkania dzwonnika, piękna Rozalia.

— Czy panowie chcą wejść na wieżę? — zapytała miękko, dźwięcznym głosem.

— Proszę drzwi otworzyć i zawołać tu ojca, — rzekł komisarz opryskliwie.

— Mój ojciec jest chory.

— Aha! Znamy się na jego chorobie. Pewnie znowu pijany. Czy tak, czy owak, muszę z nim pomówić!

Różia otworzyła kratę, komisarz wszedł do mieszkania dzwonnika, a lekarz, baron i malarz pozostali w korytarzu.

— Jak się pani miewa, panno Rozalio, — zapytał Daubrac.

— Dziękuję panu konsyliarzowi. Czy wolno mi zapytać, w jakim celu przybyli tu panowie z komisarzem policji?

— Szukamy tu pewnego pana, który przed dwudziestu minutami wszedł tu na wieżę w towarzystwie kobiety.

— Właśnie wtedy wróciłam do domu.

— Czy pani widziała ich obydwój?

— Tylko w przelocie. Mój ojciec jest niezdrow, więc zostawił kratowe drzwi otworem, aby nie wstawać z łóżka i co chwilę nie otwierać ich wchodzącym. Ci państwo weszli na wieżę, nie zatrzymując się przy kracie, którą dopiero potem sama zamknęłam. Obecnie znajdują się na wieży.

— Niestety myli się pani, bo owa kobieta rzuciła się na bruk i zabiła, albo ją też strącono.

— Święty Boże!

— Teraz pani pojmie, dlaczego szukamy owego pana, który z tą nieszczęśliwą wszedł na wieżę.

Zanim dziewczyna zdołała jeszcze coś przemówić, przerażona tą wiadomością, wypadł komisarz z mieszkania dzwonnika i zawołał opryskliwie:

— Wiedziałem z góry, że Verdier znowu pijany. Już tego za wiele. Wieży nie pilnuje, drzwi nie zamyka, każdy może tu wchodzić i wychodzić według upodobania. To się musi skończyć.

— Niech pan komisarz raczy uwzględnić, że mój ojciec jest bardzo nieszczęśliwy.

— Oceniam bardzo troskliwość pani o ojca, ale nie mogę sprzeniewierzyć się mojemu obowiązowi.

Usłyszano stąpanie po schodach. Były to kroki męskie, lekkie i spokojne, jakby szedł człowiek, któremu się wcale nie spieszy. Komisarz szepnął Rózi, ażeby odeszła do mieszkania, towarzyszy swoich ustawił na platformie, a sam wyszedł na schody. Za chwilę spostrzeżono schodzącego z góry mężczyznę, który na widok komisarza zatrzymał się, jakby zamierzał zrobić mu miejsce i przepuścić koło siebie. Daubrac i Meriadec poznali go natychmiast. Był to towarzysz damy z niebieskim welonem, mężczyzna okazałej postaci, a mimo młodości pełen powagi i dystynkcji. Gdy widział, że komisarz nie rusza się z miejsca i stoi uparcie na środku schodu, spojrzał nań niecierpliwie, widocznie rozdrażniony tem, że mu ktoś drogę zastępuje.

— Komisarz podniósł ku niemu głowę i rzekł tonem ostrym:

— Proszę pana bliżej.

— Nie rozumiem pańskiego żądania. Zapewne pomyliłeś się pan co do osoby — odpowiedział nieznajomy dumnie i stanowczo.

— Wzywam pana w imieniu prawa, abys pan natychmiast zbliżył się do mnie.

— Jeżeli tak, jestem prawu posłuszny. To rzekłszy nieznajomy zeszedł szybko i stanął przy komisarzu.

Udali się wszyscy do mieszkania dzwonnika, gdzie komisarz zadał na wstępie nieznajomemu pytanie:

— Pan wyszedł na wieżę w towarzystwie kobiety, nieprawdaż?

Nieznajomy zbladł cokolwiek, ale odpowiedział niedbale:

— A cóż to przedstawiciela policji obchodzić może?

— Zapewne mnie obchodzi, jeżeli się pytam. Ci oto panowie widzieli pana, wchodzącego w towarzystwie kobiety na wieżę. Widziała też ta oto panienka.

— Nie przeczę.

— Gdzie się towarzyszka pańska podziła?

— Odeszła.

— Sama?

— Tak.

— Wątpię.

— Proszę iść na górę i przekonać się.

— To zbyt uczucie. Wiemy gdzie jest i zaraz pana do niej zaprowadzimy.

Nieznajomy drgnął niespokojnie i widać było u niego nie małe zakłopotanie, ale opanował się prędko i rzekł spokojnie:

— Zdaje mi się moi panowie, że stroicie sobie jakieś niewłaściwe żarty. Proszę mówić wyraźnie i jasno, czego właściwie odemnie żądacie.

— Natychmiast dowie się pan o wszystkim, teraz proszę iść naprzód.

— Ustępuję przemocą, zwracam atoli uwagę panu na to, że we właściwym miejscu wniosę zażalenie. Pan dopuszcza się wobec mnie nadużycia władzy urzędowej. Dokąd chcesz mnie pan zaprowadzić?

— Do Hotel-Dieu.

— Do Hotel-Dieu?! — zawołał nieznajomy. — Czy przytrafiło się jej jakie nie szczęście?

— Szczegółne, że pan o tem nie wiesz — rzekł komisarz ironicznie.

— Nie wiem i dlatego się pytam — mówił nieznajomy tonem energicznym.

— Dajże pan już spokój tej komedii. Pan najlepiej wiesz o tem, co się stało.

— Pozwól pan w zamian się prosić, abys mnie nie dręczył temi zagadkami, a pozwól natomiast, abysmy przyspieszyli kroku, bo chciałbym ją zobaczyć jak najprędzej.

— Tak bardzo się panu spieszy? Szczegółne. Zaraz pójdziemy.

Jakoż udano się w pochód. Nieznajomy szedł przodem, a komisarz postępował tuż za nim. O ile z początku nie było mu pilno spieszyć na wieżę, bo był przekonany, że nieszczęśliwa kobieta popełniła samobójstwo, o tyle teraz gorączkowo przejął się tą myślą, że pochwylił mordercę i na myśl mu nie wpadło, że mógł być na wieży jeszcze kto inny i że należało właściwie nie poprzestawać na zatrzymaniu tego nieznajomego, ale całą wieżę przepatrzyć. Również i malarz uwierzył w to ślepo, że morderca ujęty, dlatego też z jakimś tryumfem rzekł do lekarza i barona:

— A co panowie? dobrze widziałem? gdyby nie ja, toby ten opryszek był umknął.

— Ten człowiek nie wygląda wcale na zbrodniarza — rzekł cicho Daubrac.

— Czy może dlatego pan tak sądzi, że ten panicz elegancko i modnie ubrany? O mój panie i tacy modnisie bywają zbrodniarzami.

— Ubranie jest rzeczą obojętną — odezwał się baron — ale twarz tego człowieka jest tak uczciwa, spokojna, że nie można w żaden sposób pogodzić się z tą myślą, że taki człowiek przed chwilą popełnił tak straszną zbrodnię.

— Jest to śmiały i zuchwały opryszek, oswojony z mordem, więc ma twarz spokojną, ale zobaczycie panowie, jak będzie wyglądał, gdy mu pokażą zwłoki zamordowanej.

Gdy zeszli na dół, zastąpiły im drogę tłumy gawiedzi, które dopiero policja rozpędzać musiała. Nieznajomy kroczył z dumą, poważnie obok komisarza, jak człowiek świadomy swej niewinności, a gardzący uwłaczającym mu podejrzeniem. Gdy weszli do Hotel-Dieu, komisarz zażądał wskazania sobie jakiegoś lokalu, gdzieby mógł spisać protokół. Daubrac zaprowadził wszystkich do swego ordynacyjnego pokoju. Tu dopiero można się było nieznajomemu dokładnie przypatrzeć. Był to człowiek wyglądający na lat trzydzieści kilka, silnie zbudowany, postawę miał wojskową i wyglądał na oficera w cywilnym ubraniu. Komisarz zasiadł za stołem, a nieznajomy, nie czekając pytania, odezwał się poważnie i energicznie:

— Proszę pana zakończyć już tę pomyłkę, czy też nadużycie władzy urzędowej. Sprowadziłeś mnie tu pan ku uciesze gawiedzi ulicznej, jakby zło- czyncę jakiegoś, nie powiedziawszy mi nawet, z jakiego się to stało powodu.

— Dowiesz się pan natychmiast — odpowiedział komisarz surowo. — A teraz proszę odpowiadać na moje pytania.

— Jestem gotów.

— Dlaczego pan poszedł na wieżę?

— Dlatego, aby równie jak wiele innych osób przyglądać się panoramie Paryża.

— I wyszedł pan na sam szczyt wieży?

— Nie panie. Zatrzymałem się w połowie drogi, bo ta pani, której towarzyszyłem, była zmęczona i wyżej iść nie mogła.

— Czy długo się pan tam zatrzymał?

— Bardzo krótko, co najwyżej przez kwadrans. Wiatr przewiewał bardzo silny, co dla mej towarzyski było bardzo dokuczliwe, dlatego też zaraz zeszła na dół.

— A to dziwne. Dlaczegoż pan z nią razem nie zeszedł?

— Bo mnie ten wiatr wcale nie dokuczał.

— Jakto? — zawołał komisarz — więc idziesz pan w towarzystwie kobiety na wieżę i potem zostawiasz ją samą? To jest tak trudne do wiary, że ja w to uwierzyć nie mogę. Człowiek dobrze wychowany nie mógłby tego uczynić!

A jednak uczyniłem. Ta pani miała bardzo ważne przyczyny do tego, aby sama odeszła.

— Jakież to przyczyny?

— Nie znam ich.

— Jakto? więc odeszła nie panu nie powiedziawszy? To szczególne!

— Mój panie, proszę mi już raz wytłumaczyć, w jakim celu i na jakiej podstawie zadajesz mi pan pytania?

— Zadaje je w imieniu prawa. Czy ta pani była pańską żoną?

— Nie jestem żonaty.

Ciąg dalszy nastąpi.